

ALBATROS

# CISZA i GNIEW

PIERRE  
LEMAITRE

PRZEŁOŻYŁ  
OSKAR  
HEDEMANN



Tytuł oryginału:  
LE SILENCE ET LA COLÈRE

Copyright © Calmann-Lévy 2023  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2025

Polish translation copyright © Oskar Hedemann 2025

Redakcja: Marzena Wasilewska

Projekt graficzny okładki: Agnieszka Drabek / Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Ilustracje na okładce: samakarov/Freeepik (*mężczyzna i kobieta*); abybak/Freeepik (*paryska ulica*); gblackteam/Freeepik (*trotuar*); pricerling12/Freeepik (*ptaki*); pikisuperstar/Freeepik (*kot*); morevector/Freeepik (*kosz*)

*Wydawca*

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.  
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa  
e-mail: kontakt@wydawnictwoalbatros.com  
wydawnictwoalbatros.com



# 1

## *Każdy miał swoje powody*

Od początku lutego perspektywa pielgrzymki Pelletierów przątała umysły wszystkich w rodzinie, zarówno rodziców, którzy pragnęli podtrzymać tradycję, jak i dzieci, które, jak co roku, starały się jej uniknąć. Ceremonia ta, odbywająca się zawsze w pierwszą niedzielę marca, upamiętniała założenie w Bejrucie tego, co Louis Pelletier nadal nazywał „rodzinną” fabryką mydła, choć w rzeczywistości była jego wyłączną własnością. Mieli się udać w uroczystym orszaku na rue de la Marseillaise, naprzeciwko składów celnych, obejrzeć fabrykę, a następnie, po krótkim postoju na aperitif w Café des Colonnes, wrócić na obiad na avenue des Français.

„Brakuje tylko złożenia wieńca i apelu poległych”, mawiał czasami François.

Jego ojcu bardzo zależało na tej uroczystości, uważał ją bowiem za odzwierciedlenie ducha rodziny Pelletierów (nikt jednak nie wiedział, o co dokładnie chodzi) i zajmował się jej organizowaniem przez wiele miesięcy. Jego żona, Angèle, zawsze zadawała sobie pytanie, na czym właściwie polega przygotowywanie wydarzenia, w którym nie odnotowano żadnych zmian od ponad trzydziestu lat. „Nie jesteś w stanie tego zrozumieć”, odpowiadał jej mąż. Tymczasem Angèle rozumiała bardzo dobrze. Ta uroczystość urzeczywistniała żarliwe aspiracje jej męża do roli patriarchy. Zawsze starał się kreować tradycje rodzinne, opierając się na

drobnych szczegółach, i delikatnie rzecz ujmując, nigdy mu się to nie udawało. Kiedy dzieci mieszkały jeszcze w domu, jego propozycje spotkań rady rodzinnej co pół roku, corocznych wycieczek do ruin w Baalbek czy skromniejszych niedzielnych wypadów do Gaumont Palace były natychmiast torpedowane. Dlatego z desperacją trzymał się rocznicy powstania fabryki mydła, posuwając się nawet do pokrywania kosztów podróży swoich dzieci, które wszystkie mieszkały teraz w Paryżu.

Cztery lata wcześniej śmierć Étienne'a, najmłodszego syna, spowiła smutkiem rodzinne spotkania i zagroziła tej hieratyczno-sakralnej pielgrzymce, ale Louis Pelletier pragnął widzieć w tym jeszcze jeden powód, by kontynuować tę tradycję, „ku pamięci Étienne'a”, który, nawiasem mówiąc, miał ją za życia głęboko gdzieś. Pan Pelletier nie zważał jednak na nic, byleby tylko zrealizować swój szczytny cel.

Angèle nie przywiązywała wprawdzie do tego takiej samej wagi, ale wspierała męża, ponieważ niewiele było okazji, by zgromadzić wokół siebie dzieci. *Postarajcie się sprawić przyjemność ojcu*, pisała do nich co roku, ale one i tak wiedziały, że mówiła raczej o sobie.

Tak więc dzieci – Jean, François i Hélène – złapano niejako w kleszcze, miotając się między uporem ojca a dyskretnymi naleganiami matki, nawet jeśli robiły wszystko, co w ich mocy, by wymyślić najróżniejsze preteksty, stawiały opór wyłącznie dla formy. Tym, co od lutego zadręczało je najbardziej, był nie tyle doroczny obowiązek wyjazdu do Bejrutu, ile przykra dla nich – dorosłych osób – konieczność stosowania się do ojcowskich nakazów.

Tego roku każdy miał swoje powody, by po raz kolejny próbować uniknąć tego obowiązku.

Hélène zamartwiała się zdradą, Jean obawiał się bankructwa, a François nie potrafił normalnie żyć od czasu zniknięcia Nine. Szef powierzył jej wykonanie jakiejś ekspertyzy w Normandii, wyjechała więc we wtorek rano i miała wrócić w najbliższy piątek.

Poprzedniego wieczoru nie było jej na dworcu.

Żadnych wiadomości.

W hotelu, w którym się zatrzymała, zapewniano François, że opuściła go późnym popołudniem z walizką w ręce.

Od tamtej pory żadnych wiadomości.

François czekał na peronie, dopóki nie przyjechał ostatni pociąg z Rouen. Położył się spać o północy, ledwie żywy z niepokoju.

Gdyby zapytano go, co jest najważniejsze w jego życiu, to mimo fascynacji pracą w dzienniku „Journal du soir”, w którym był reporterem, nie zawahałby się ani chwili; wskazałby natychmiast na Nine. Zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia i rzucili się sobie w ramiona, kiedy spotkali się po raz drugi; znał każdy milimetr jej ciała, odkrył w niej już wszystko: jej zapach, skórę, ciepło, aksamitne usta, jej aksamitne runo. Przez ostatnie cztery lata cała stała się krainą, którą zamieszkiwał. Milcząca Nine obejmowała go mocno i sprawiała wrażenie, że ona również dotarła do miejsca, z którego już nigdzie nie ma ochoty wyruszać, chociaż wciąż odrzucała perspektywę wspólnego życia z François.

Czy powinien był jeszcze bardziej się upierać, by pojechać do Normandii razem z nią?

Ale przecież kiedy wspomniał o wzięciu wolnego dnia, by jej towarzyszyć, straciła panowanie nad sobą.

– Nie jestem na twoim garnuszku! Nie jesteś moim ojcem!

Nie mogła znieść, gdy próbował jej pomóc. To częsty odruch u osieroconych osób, powtarzał sobie, za nic nie chcą być zależne od innych.

Wciąż widział ją podekscytowaną, kiedy powiadomiła go o swoim wyjeździe. Biblioteka musiała zostać zinwentaryzowana; trzeba było dopracować zamówienie, oszacować, ile będzie to wymagało pracy, sporządzić kosztorys.

– Po raz pierwszy wysłała mnie samą w tak ważnej sprawie!

Nine była dwudziestosześcioletnią piękną brunetką, z bardzo drobnymi ustami, niesamowicie przenikliwym spojrzeniem

i błyszczącymi oczami. Pracowała u Léona Florentina, introli-gatora, zajmującego się artystyczną renowacją starych ksiązek, a więc wykonującego bardzo samotnicze zajęcie, które idealnie jej odpowiadało i w którym wykazywała się wielką zręcznością. Pan Florentin, kiedy przyjął ją na praktykę, także zastanawiał się nad jej ledwie wyczuwalnym akcentem. Węgierski? Niderlandzki? A może jakiś skandynawski kraj? Ale tak naprawdę nie był to problem natury językowej. Nine w wieku kilkunastu lat straciła słuch i była w dziewięćdziesięciu procentach głucha. A ta resztką, którą była w stanie jeszcze usłyszeć, docierała do niej jakby „przez gruby materac”, jak ujęła to kiedyś w rozmowie z François.

Im gorzej słyszała samą siebie, tym większe miała trudności z mówieniem. Obawiając się, że może głośno krzyczeć i nie zda-wać sobie z tego sprawy, zaczęła mówić bardzo cicho i trzeba było dobrze się wsłuchiwać, by ją zrozumieć. Wpatrywała się w ludzi z natarczywością, która niepokoiła wielu jej rozmówców. Trzeba było czasu, by zorientować się, że Nine czyta z ruchu warg. Uni-kała sytuacji, kiedy było dużo ludzi, bo czuła się wtedy zagubiona i bała się, że czegoś nie dostłszy i że narazi się na śmieszność. Nigdy nie nauczyła się języka migowego ani nie nosiła aparatu, wolała niczego nie wiedzieć, tak właśnie żyję, mawiała i jej życie było ciągłą społeczno-towarzystwą ekwilibrystyką, niezwykle wy-magającą, co wywoływało u niej rzadkie wprawdzie, ale wynisz-czające napady złości.

Ich związek był tym naznaczony: z jednej strony odrzucanie pomocy przez Nine, z drugiej bezsilność François. Przez te cztery lata, odkąd się poznali, niewiele się o niej dowiedział (skromne dzieciństwo w Courbevoie, matka, która zmarła w młodym wieku, ojciec alkoholik, przeciętny mediewista, który też szybko umarł). Jej historia była pełna emocji i chyba wielu kłótni. Nine była bardzo drażliwa i często nie panowała nad nerwami. A że François potrafił być niezręczny, relacje między nimi były dość skomplikowane.

Gdzie ona mogła teraz być? Nie znał nazwiska klienta w Normandii, a jej pracodawca wziął kilka dni wolnego, wyjechał gdzieś do Owernii i nie zostawił numeru telefonu.

• • •

François właśnie uczestniczył w jednym ze spotkań redakcyjnych „Journal du soir”, które odbywały się codziennie rano i brali w nich udział szefowie wszystkich działów.

Jego udział polegał na udawaniu, że bacznie śledzi rozmowę; patrzył na naczelnego, nie słuchając go. Adrien Denissov był jedynym, który stał, jakby nie wystarczało mu to, że jest tak wysoki – górował nad wszystkimi o dwie głowy. Nie wyglądał już na bardzo młodego, ale był zaskakująco przystojnym mężczyzną i chociaż miał żonę i dzieci, podejrzewano go o wiele miłosnych podbojów.

Te spotkania były areną dyskusji, konfrontacji i wszelkiego rodzaju pojedynków – o nagłówek, zdjęcie, tytuł czy temat – które Denissov ostatecznie rozstrzygał, gdy zainteresowani już zbyt długo skakali sobie do gardeł. Rutynowe stały się już rozgrywki, jakie toczyli między sobą Stan Malevitz, odpowiedzialny za kronikę miejską, i Arthur Baron, szef działu polityki wewnętrznej i zagranicznej. Ich zażarte boje i kłótnie oraz najcelniejsze riposty krążyły wśród pracowników gazety już chwilę po zakończeniu zebrania i przechodziły do legendy.

Dzisiaj nie dojdzie jednak do awantury, ponieważ Malevitz był nieobecny, co w jego wieku nie bardzo mu służyło.

– Wróci do nas z trądzikiem – rzucił ktoś.

To, że Malevitz cierpiał na zapalenie wyrostka robaczkowego w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat, bardzo rozbawiło zebranych.

– Czy ktoś wysłał mu już do szpitala lizaki?

François uśmiechnął się uprzejmie. Odkąd cztery lata wcześniej zajął się słynną sprawą Mary Lampson, zabójstwem aktorki w niewielkim paryskim kinie, był uważany za najbardziej utalentowanego specjalistę pracującego dla kroniki miejskiej. I właśnie

dlatego przypadł mu przywilej zastąpienia Malewitza. François uznał jednak, że przyłączenie się do śmiechu, którego obiektem był jego bezpośredni przełożony, byłoby dość niestosowne.

Gdy rozległy się oklaski, oderwał się od swoich myśli.

– Tak, bravo! – mruknął.

Denissov rozdał swojemu zespołowi ostatnią stronę najnowszego wydania, składającą się w całości z dużych zdjęć z prostymi podpisami.

To był jego autorski pomysł – zupełna nowość w paryskiej prasie – który cieszył się olbrzymim powodzeniem wśród czytelników. W zespole redakcyjnym przypominało to rytuał; poświęcano czas na rozszyfrowanie strony, oceniano jej odbiór, a następnie zatwierdzano przez aklamację, no chyba że ktoś miał jakieś krytyczne uwagi. Zdjęcia wybierano bez żadnego klucza: na stronę wrzucano wszystko, co nie pasowało do artykułów – zabawne, zaskakujące albo uspokajające obrazki, które miały odzwierciedlać najnowsze, najbardziej ekscytujące i różnorodne aktualności.

W lewym górnym rogu, w ramce, umieszczono zdjęcie doszczętnie zmiążdżonego samochodu – wypadki drogowe były przecież teraz bardzo modne. François znał to zdjęcie, zrobione przez jego siostrę Hélène, która pracowała dla „Journal du soir” jako wolny strzelec. Cztery lata wcześniej Denissov zobaczył kilka jej zdjęć z Indochin i stwierdził, że Hélène ma „to coś”, i od tego czasu regularnie korzystał z jej usług. François był na tyle ostrożny, żeby nie wspomnieć o tym, o czym Denissov doskonale wiedział: że ta fotografia wcale nie została zrobiona na drodze, jak mogłyby na to wskazywać kąty, ujęcie i obecność mężczyzny w prochowcu, ale w garażu, do którego ten pojazd został przetransportowany. Było to drobne naginanie prawdy, z którym da się przecież żyć. Zrobiono to w zbożnym celu, jak to się mówi, tak brzmiała przyjęta formuła. A tym zbożnym celem był rzecz jasna sukces „Journal du soir”.

Teraz należało przejść do omówienia najważniejszych tematów najbliższego wydania.



François nie mógł ani na chwilę przestać myśleć o Nine i jej nieoczekiwanym zniknięciu. Jego niepokój się nasilał. Już tysiąc razy bał się, że ją straci, że Nine może zniknąć. Próbował sam sobie przemówić do rozsądku: daj jej wreszcie spokój. To samo mówiła mu siostra, która była z Nine bardzo blisko. Nie trzeba się aż tak bardzo przejmować kimś, kto pewnie spóźnił się na pociąg, pomyślał, ale udręka, jaką odczuwał, nie była bezpodstawna. Już wcześniej zdawał sobie sprawę, jak bardzo Nine jest... delikatna i krucha. Mogła źle na coś zareagować, mogła dać się ponieść niedobrym emocjom... Starał się nie myśleć o niej jak o osobie, która znalazła się w trudnej sytuacji, ale nie był w stanie nic poradzić na to, że jej rozterki wywoływały w nim okropne lęki.

Wciąż próbował skupić się na tym, co mówiono. Denissov wyglądał świetnie, jak za swoich najlepszych czasów, i zdawał sobie z tego sprawę; widać to było po jego minie, po tym charakterystycznym dla niego sposobie, w jaki przygryzał dolną wargę i kiwał leciutko głową – był w sumie dosyć próżny.

– Panowie, w przyszłym tygodniu przyjrzymy się... kobietom – powiedział.

– Aaach... – To masowe westchnienie było tym bardziej nieskrępowane, że żadnej z pań nie było na spotkaniu redakcyjnym.

– Niestety, niekoniecznie ujrzymy je w najlepszym świetle...

– Oooh...

Teatralnym gestem Denissov wyciągnął kartkę i wszyscy natychmiast przeczytali tytuł:

### *Czy Francuzki są brudne?*

Mimo że w sali byli wyłącznie mężczyźni, wszyscy uznali to pytanie za kłopotliwe i niezręczne. A już po chwili refleksji za wręcz skandaliczne. François pomyślał, że jest obraźliwe.

Strona była mgliście zilustrowana humorystycznym rysunkiem, przedstawiającym uśmiechniętą kobietę nakładającą makijaż przed lustrem. Miała na sobie stanik i właściwie trudno było to skojarzyć z tytułem artykułu.

Denissov był wniebowzięty. Reakcja kierowników działów potwierdziła tylko jego przecucia. Opuścił ramiona, założył grube okulary w szylkretowych oprawkach i zaczął czytać na głos nagłówek artykułu:

**Francuzki są powszechnie uznawane  
za eleganckie, a nawet czarujące kobiety**

*Ale czy ta reputacja nie skrywa aby  
okrutnej prawdy?*

Odłożył kartkę na biurko i uśmiechnął się szeroko.

– Jest to studium na temat kobiecej czystości. Pięć artykułów w pięć dni.

Wszyscy zupełnie oniemieli.

– Kto to napisał? – zapytał François.

– Forestier.

To nazwisko nic nikomu nie mówiło.

– Nie chciałem ryzykować utraty tematu – kontynuował Denissov. – Wolałem skorzystać z usług kogoś z zewnątrz. Jeśli ten cykl odniesie sukces, zatrudnię go.

– Ale czy nasze czytelniczki nie poczują się znieważone? – wtrącił Baron.

Naczelny wybuchnął śmiechem.

– Ależ skądże! Każda od razu pomyśli, że mówimy o jej sąsiadce albo koleżance. A jeśli nawet któraś z nich się w tym rozpozna, za nic tego nie powie, nie ma takiej obawy. Będziemy mieć wszystkich po swojej stronie.

Rzadko kiedy sprzeczano się z Denissovem. Jego pomysły były najczęściej świetne, lecz ten wywołał konsternację, ponieważ dotykał kobiecej prywatności; temat przywoływał krępujące obrazy i w ogóle nie wzbudził entuzjazmu, chociaż sam szef był zachwycony.

– Panowie, w takim razie do roboty.

Tak brzmiała przyjęta formułka, gdy zebranie dobiegało końca. François nagle poczuł, że ogarnia go panika. Do wyjazdu na procesję Pelletierów pozostał już tylko tydzień i właśnie przemknęła mu przez głowę myśl, co zrobi, jeśli do tego czasu Nine się nie pojawi.

Jako reporter kroniki miejskiej wiedział lepiej niż ktokolwiek inny, że jeśli zaginiona młoda kobieta nie odnajduje się w ciągu ośmiu dni, wtedy w poszukiwaniu włącza się policja i informacje o tym trafiają do gazet. Ta perspektywa przyprawiła go o dreszcze.

Byłoby okropnie, gdyby zniknięcie Nine miało stać się wymówką do uniknięcia przykrego obowiązku wyjazdu do Bejrutu.

To, co François poważnie niepokoiło, jego siostrę tylko lekko zmartwiło, Hélène wiedziała bowiem, że Nine jest dziwna, a nawet nieprzewidywalna. Nie wątpiła jednak, że tajemnica wkrótce zostanie rozwiązana. Miała tylko nadzieję, że... Nie, bez względu na to, jak długo o tym myślała, nie była w stanie wyobrazić sobie Nine zakochującej się w innym mężczyźnie niż jej brat. Chociaż właściwie nigdy nic nie wiadomo.

Na razie przemierzała alejki domu towarowego Samaritaine w poszukiwaniu jakiegoś małego prezentu dla bratanicy, Colette, córeczki Jeana, którą uwielbiała. Mała wkrótce skończy trzy lata. Wciąż nie mówiła za dobrze – choć pewnie powinna radzić już sobie z tym lepiej – ale miała uważne, przenikliwe spojrzenie, co świadczyło o inteligencji, choć ta nie przejawiała się żadnymi zewnętrznymi oznakami, co było zaskakujące dla dziecka w tym wieku. Relacja Colette z matką nigdy nie wyglądała na zbyt harmonijną, więc może właśnie stąd brała się jej postawa odmowy, którą czasami przyjmowała, krzyżując ręczki na piersi, patrząc prosto przed siebie i zaciskając mocno usta.

Nine, która również bardzo lubiła małą, nie uważała jej za szczęśliwe dziecko.

W Hélène natomiast widok bratanicy czasami wywoływał nieokreślony wewnętrzny niepokój. Miała dwadzieścia trzy lata;

większość jej przyjaciółek była już matkami lub wkrótce miała nimi zostać. Dla niej nie wchodziło to w rachubę – w każdym razie jeszcze nie teraz – a poza tym do tego potrzebny był przecież facet. Kandydatów nie brakowało, ponieważ Hélène była śliczną blondynką, jakich mało, o pięknej twarzy, wysokich kościach policzkowych i zmysłowych ustach, charakterystycznych w tej rodzinie. Jeśli chodzi o piersi i pupę, miała wszystko, co podobało się mężczyznom. Często gwizdano na nią na ulicy, a w metrze musiała się nieraz nieźle nagimnastykować, żeby uniknąć błędzących dłoni.

Tak czy inaczej, nie, to nie był ten czas, a już na pewno nie z nim. Z mężczyzną, z którym teraz była.

Hélène potrząsnęła głową i wolała wrócić myślami do małej Colette.

To szwagierka zaproponowała jej, żeby została matką chrzestną.

Trzeba było przecież robić wszystko „tak, jak należy”, co w oczach Geneviève oznaczało „zachowywać się tak jak wszyscy”. A więc musiały być migdały w cukrze, których i tak nikt nie jadł, msza, na którą nikt oczywiście nie chodził, grawerowany srebrny pucharek, który teraz czerniał w kredensie w stylu Henryka II, skąd wyjmowano go tylko w niektóre niedziele, na przykład te, kiedy Geneviève udało się ściągnąć szwagierkę i szwagra. Te spotkania rodzinne były u Pelletierów prawdziwą obsesją!

Hélène zdecydowała się na żółtą grzechotkę, która była w jej możliwościach cenowych, i poprosiła sprzedawczynię o zapakowanie jej na prezent. Nie zarabiała za dużo. Pracowała dla „Journal du soir” i kilku innych gazet i czasopism, ale honoraria były tam wazone z aptekarską dokładnością, tak że Hélène z trudem wiązała koniec z końcem i każdy kolejny miesiąc stanowił poważne wyzwanie.

Mieszkała w dziesiątej dzielnicy, przy rue de la Grange-aux-Belles, w dwupokojowym mieszkaniu. Sypialnię zamieniła w pracownię i ciemnię fotograficzną, do której wodę musiała no-

sić w kanistrach z pakamery służącej jej za kuchnię. Spała na sofie, a toaleta była na półpiętrze, jak w wielu paryskich mieszkaniach. Ale Hélène i tak była szczęśliwa.

Dzieliła tę niewielką przestrzeń z Josephem, przegowanym kotem, który niegdyś należał do jej brata Étienne'a. Joseph miał zaskakująco wysokie nogi i tajemnicze spojrzenie; jego prawe ucho zostało rozcięte pośrodku, prawdopodobnie podczas jakiejś bójkę w poprzednim życiu, w jego drugim wcieleniu, sajgońskim. Pierwsze było bejruckie, a w tym obecnym – trzecim – został paryżaninem. Mieszkał na wysokościach, na biblioteczkę, na szafie, wszystko mu odpowiadało. W mieszkaniu Hélène spędzał większość czasu oparty o statuetkę Buddy, bezwartościowy kawałek ceramiki, którą przywiozła z Indochin, i stamtąd spoglądał na świat poważnym i przenikliwym wzrokiem. Jego główna przyjemność polegała na wskakiwaniu na czyjeś ramiona przy pierwszej nadarzającej się okazji. Niezły był z niego żartowniś.

Hélène, coraz bardziej świadoma swojego talentu, rozkwitała. Była pewna, że bardzo skromne warunki jej egzystencji stanowią cenę, jaką musi zapłacić za niezależność, ale wierzyła, że przyszłość stoi przed nią otworem.

Wsunęła prezent dla Colette do torby i westchnęła. Nie dość, że za dziesięć dni czekał ją wyjazd do Bejrutu, to jeszcze musiała znieść niedzielny posiłek u Geneviève i Jeana, którego nadal czasami nazywali Miśkiem, ponieważ wciąż miał lekką nadwagę. Zwykle Hélène odmawiała udziału we wspólnych obiadach, ale tym razem się zgodziła. Nawet Misiek był zaskoczony.

– Ach tak? Więc jednak będziecie u nas? – spytał.

Często wpadała, żeby zobaczyć „chrześniaczkę” (Geneviève uwielbiała to wyrażenie). Ale to nie z powodu Colette się tam pojawi, lecz dlatego, że nie mogła wymyślić lepszej okazji, żeby porozmawiać z François.

Ropień musiał zostać nakłuty, sprawa stawała się pilna.

W poniedziałek byłoby już za późno.

Więc tak, w niedzielę, dobrze, przyjdę, powiedziała Miśkowi i im bardziej zbliżał się ten dzień, tym bardziej szukała odpowiednich słów.

Zamknęła oczy.

Mój Boże, jak ma mu to wyjaśnić? Przez trzy tygodnie przygotowywała się do tej rozmowy; miała imponujący zasób zdań i formułek, z których wiele granoczyło z wyzwiskami, ponieważ nie mogła sobie wyobrazić, żeby François zachował spokój, i ta sprawa musiała się zakończyć bardzo gorzko.

Jej brat był naprawdę utalentowany. W „Journal du soir” to zawsze on wymyślał najbardziej chwytliwe tytuły i to do niego przychodzili, by prosić go o radę, gdy trzeba było znaleźć odpowiednie ujęcie jakiegoś tematu. Ale od dłuższego czasu z trudem się powstrzymywał. Nie wybrał przecież tego zawodu po to, żeby spędzić długie lata na pisywaniu notatek o morderstwach w rodzinie, zabójstwach z niskich pobudek albo o napadach na sklepy jubilerskie. Marzył o dużych i poważnych reportażach, o głębokich społecznych analizach. Denissov nie zamierzał jednak zmieniać niczego w zespole, który radził sobie tak dobrze, pozostawał więc głuchy na wszelkie sugestie François.

A teraz ona... Robiło jej się niedobrze na myśl o tym wszystkim, o tym niefortunnym łańcuchu zdarzeń! O tym, co będzie musiała wyjaśnić bratu. Czy on w ogóle zechce jej wysłuchać?

Dwa tygodnie wcześniej Denissov wspomniał o pannie Blanche, sekretarce, która uchodziła za jedną z najseksowniejszych w biurze.

– Może byłoby jednak lepiej, żeby się umyła – powiedziała Hélène.

Denissov zamarł, zupełnie oniemiały.

– Tak, mogłaby umyć zęby i myć się trochę częściej – dodała. – Ale cóż... – Po prostu potwierdzała ogólną opinię, która odnosiła się do wszystkich kobiet: higiena nie była ich podstawowym zmartwieniem.

– Jesteś tego pewna? – zapytał Denissov.

– O tak, całkowicie!

Miała koleżanki, które zmieniały bieliznę tylko raz w tygodniu, a pas do pończoch prały raz na miesiąc.

To, co dla Hélène było smutną konstatacją, dla Denissova stało się pomysłem na przyszły reportaż. Każde z nich miało swoje ekscytujące powody. W mniej niż kwadrans naczelny „Journal du soir” udzielił jej kredytu zaufania; pozwolił jej zatrudnić na tydzień pięć dziewczyn, które miały przeprowadzać ankiety. Po dwadzieścia każda. Sto kobiet, którym zostaną zadane te same pytania.

– Ale bez wzbudzania podejrzeń, dobrze? – zastrzegł Denissov. – Zrób to pod pretekstem przeprowadzania ankiety na temat produktów higienicznych, zawsze coś się znajdzie... I upewnij się, że obejmiesz badaniem różne kobiety. Od robotnic, przez gospodynie domowe, nauczycielki, po wolne zawody. Wszystkie muszą czuć się zaangażowane!

Dał jej kolejny tydzień na napisanie serii pięciu artykułów. Nie zdając sobie z tego sprawy, miała wziąć na siebie całą redakcyjną stronę przedsięwzięcia, a więc zająć się czymś, czego zawsze odmawiała. No i badaniami społecznymi, o których jej brat zawsze marzył, ale nigdy mu się to jakoś nie udało.

– Powinnaś przyjąć jakiś pseudonim – powiedział Denissov, bardzo sprytnie i przebiegle.

Oficjalnie miała to zrobić po to, żeby odróżnić swoją działalność fotoreporterską od dziennikarskiej. Hélène wiedziała jednak, że jest to trochę za grubymi nićmi szyte. François nie da się na to nabrać.

A sprawa wcale nie będzie wyglądać lepiej, gdy prędzej czy później brat dowie się o jej romansie z Denissovem... Lecz cóż można było poradzić na to, że tak wiele dziewcząt zawdzięczało sukces swoim wdziękom, taka już widać była kolej rzeczy. Mimo to Hélène czuła się nieswojo, ponieważ w jej przypadku było to zarówno prawdą, jak i fałszem. Prawdą, ponieważ Denissov nigdy nie zaproponowałby jej napisania tego reportażu, gdyby ta rozmowa nie odbyła się w pokoju hotelowym, w którym regularnie się spotykali. Fałszem, ponieważ poświęcił całe swoje

życie „Journal du soir” – nic nie było dla niego ważniejsze – i nigdy nie powierzyłby jej takiego zadania, gdyby nie był przekonany, że jest w stanie dobrze je wykonać. No tak... tylko jak to wyjaśnić François!

Teraz żałowała, że postanowiła czekać z tym do obiadu u Miśka. Miała ochotę dać sobie po głębie. Myślała wyłącznie o sobie. Jak mogła pomyśleć o prowadzeniu takiej rozmowy w obecności biednego Jeana, który ostatnimi czasy wyglądał na tak potwornie udręzonego?

Być może jego interesy wcale nie wyglądały aż tak dobrze, jak to przedstawiał.

Trzy lata wcześniej najstarszy syn Pelletierów z żoną otworzyli sklep o nazwie Dixie, w którym sprzedawali pościel, obrusy i inne tekstylia do domu w bardzo przystępnych cenach. Wszystkie artykuły były prezentowane w koszach lub na stołach, jak na targu. Klientki uwielbiały grzebać w tych stosach wystawionych rzeczy, by znaleźć sześć pasujących do siebie ręczników albo sparować flanelowe rękawiczki-myjki do kąpeli. Zwykłą zasadą handlu jest kupować tanio i sprzedawać drogo. Jean podszedł jednak do tej kwestii zupełnie inaczej: postanowił kupować tanio i sprzedawać również tanio, tyle że w znacznie większych ilościach. Sukces okazał się spektakularny. Wtedy wpadł na pomysł powiększenia powierzchni sklepu i rozszerzenia asortymentu o damską odzież.

Jego żona, Geneviève, która zawsze była zdania, że ręcznikom i prześcieradłom kąpielowym brakuje elegancji (nie wspominając już o sposobie ich eksponowania jak na arabskim suku, co uważała za okropnie prostackie!), wyobrażała sobie, że stworzy sklep z modną odzieżą, w którym zatrudni projektantów i szwaczki. Już widziała oczami wyobraźni, jak wyglądałby pierwszy pokaz mody w jednym z paryskich pałaców... Kiedy zdała sobie jednak sprawę, że nie będzie to haute couture, a masywna odzież, zamknęła się w sobie niczym ostryga. Jej mąż był niezmiennie taki sam, a wszystkie jego inicjatywy pogrążyły ich w banalności i złym guście.



– Kto w ogóle kupi takie dziadostwo? – zapytała, gdy Jean przyniósł pierwsze próbki.

– Eee... klientki?

– Mój ty biedaku, ty zupełnie nic nie rozumiesz. W ogóle nie wiesz nic o kobietach!

– Ale to nie jest drogie – zaryzykował.

– A to ci dopiero szczęście! – Trzymała w wyciągniętej ręce sukienkę z drukowanego materiału zmiętą w taki sposób, jakby od razu miała ją wrzucić do prania.

Jean pozbiierał te próbki, ale dalej realizował swój projekt, opierając się na założeniu, że kobiety bardzo lubią zmieniać ubrania. Zamierzał zaproponować sukienki, bluzki, spódnice, swetry, owszem, może średniej jakości, ale za to tak niedrogie, że można je będzie często zmieniać. W sumie sukienka, która przetrwa dziesięć lat, przez dziewięć będzie przecież niemodna, pomyślał. Co więcej, wystarczyło rozejrzeć się wokoło, by zobaczyć, że wszędzie są dzieci, które brudziły ubrania i szybko z nich wyrastały. Nawet jeśli potem nosiło je po nich rodzeństwo, miało to przecież swoje granice i z pewnością nie zadowalało to matek, które pragnęły mieć „ładne i zadbane dzieci”, takie jak te, które widziało się w reklamach w czasopiśmie. Jean uważał, że dział kobiecy powinien zostać poszerzony o odzież dla najmłodszych. Dysponująca ograniczonym budżetem kobieta, która chce kupić tanią sukienkę zaprojektowaną tak, by przetrwała tylko jeden sezon, z całą pewnością zajrzy do działu, w którym mogłaby zrobić to samo dla swoich dzieci.

W czerwcu Geneviève była pod wrażeniem lokalu, który Jean chciał przeznaczyć na drugi sklep. W tym znakomicie usytuowanym miejscu – na rogu place de la République – dotychczas mieścił się sklep ogólnospożywczy i magazyn. Tysiąc dwieście metrów kwadratowych!

– Ależ tu brudno – rzuciła poważnym tonem Geneviève.

Dla Jeana oznaczało to, że jest na właściwym kursie. Tyle że żona, która bardzo zaangażowała się w powstanie pierwszego sklepu, zdążyła już posmakować rozkoszy małżeńskiego

lenistwa i nie miała ochoty kiwnąć palcem, by teraz mu pomóc. Kiedy zdał sobie sprawę z ogromu pracy, jaka go czeka przy otwarciu sklepu o tak dużej powierzchni, ogarnął go potworny niepokój. To był dla niego bardzo trudny okres, schudł prawie dziesięć kilogramów – „Akurat ty możesz sobie na to pozwolić!”, powiedziała mu Geneviève – i cierpiał na wyniszczające nerwobóle, które przykuwały go do łóżka. Musiał zdobywać się na nadludzki wysiłek, by w południe zwlec się z łóżka, a praca była dla niego chwilami istną męką.

Kilka razy dziennie zadawał sobie pytanie, czy to wszystko nie dzieje się zbyt szybko. Już samo podliczanie pieniędzy, które musiał pożyczyć, by sfinalizować ten projekt, powodowało u niego przyspieszone bicie serca; w nocy nie mógł zmrzymać oka. Czy nie przesadził z nadmierną pewnością siebie? Nosił w kieszeni mały notatnik, z którym nigdy się nie rozstawał, i gorączkowo wpisywał do niego kolejne kwoty. Suma przedstawiała się katastrofalnie.

A przecież zaczęło się tak dobrze.

Jean nie potrafił wskazać momentu, w którym wszystko zaczęło się sypać. System sprzedaży, który opracował, wymagał wynajęcia magazynu, który udało mu się wreszcie znaleźć w Montreuil – tysiąc metrów kwadratowych, do których obsługi potrzebnych było co najmniej sześćdziesięciu pracowników! A do tego jeszcze dwie osoby zajmujące się pracą papierkową. Mój Boże, wszyscy ci ludzie byli opłacani już od miesiąca, a sklepu nie otworzymy przed końcem marca, myślał przerażony Jean.

Gdy obserwował przesuwane się przed nim obrazy, notatnik drżał w jego palcach.

Pociąg powrotny do Paryża właśnie opuścił przedmieścia Charleville pod zimnym, szarym niebem. Przedział był pusty z wyjątkiem młodego mężczyzny w przyciasnym garniturze, w małych, okrągłych okularach, który wyglądał, jakby właśnie opuścił seminarium lub do niego wracał. Jean zapisał 15 – tyle kobiet będzie musiał zatrudnić w przyszłym tygodniu, by przy-

gotować się do otwarcia, do ułożenia towarów na półkach. A potem dopisał jeszcze 2 – czyli osoby do obsługi, które będą odpowiedzialne za ciągłe uzupełnianie zapasów.

Był wykończony, wiedział jednak, że nawet usypiające kołowanie pociągu w niczym mu nie pomoże. Kolumna liczb i umykający wzrok współpasażera nie pozwalały mu zasnąć.

Sen zawsze był dla niego problemem.

Poprzednia noc była po prostu okropna.

Tego wieczoru w restauracji niedaleko hotelu para siedząca dwa stoliki dalej nie przestawała chichotać i całować się w usta między daniami. Jean nie zapamiętał mężczyzny, ale dziewczynę owszem... Gdy siadała, jej sukienka uniosła się i ujrzał białe udo, górę pończochy, a nawet część podwiązki, trudno mu było udawać obojętność. Kiedy dziewczyna przechylała się w stronę swojego towarzysza (i chichotała, chwytając go za szyję i przyciągając do siebie), Jean mógł zobaczyć jej sylwetkę, z lekko wypukłym brzuchem i pełnymi, ciężkimi piersiami, których mężczyzna dotykał ukradkiem, a ona wciąż chichotała, chowając twarz w serwetkę.

Wysoki kelner, z żółtymi wąsami i blond włosami, udawał, że niczego nie widzi. Gdy tylko się oddalał, mężczyzna myślał, że nikt nie patrzy, i przesuwiał dłoń po piersiach dziewczyny, czasem nawet pod sukienką, dotykając jej ud. W tym momencie kelner, któremu nie umknęła ta scena, dyskretnie stanął w pobliżu drzwi do kuchni, w strategicznym miejscu, które pozwalało mu niczego nie stracić z rozgrywanej się sceny. Nagle zdał sobie sprawę, że Jean bacznie mu się przygląda. Daleki jednak od tego, by się zawstydić, szukał wzrokiem milczącego współnictwa, nawet mrugnął do niego parę razy porozumiewawczo.

Jean, lekko zmieszany, desperacko próbował skoncentrować się na zawartości talerza, ale spektakl w wykonaniu pary przyciągał go jak magnes.

Gdy tylko wypił kawę, wstał i dopiero kiedy wychodził, zobaczył twarz obmacywanej dziewczyny. Była brunetką z bardzo

krótkimi włosami; przypominała mu portret lesbijki z okładki powieści, która wywołała powszechny skandal, ale nie odważył się jej kupić.

Najgorsze jednak było to, że para mieszkała w tym samym hotelu co on.

Przed pójściem spać Jean palił papierosa na balkonie, kiedy się pojawili. Dziewczyna nie śmiała się już tak głośno jak wcześniej, w restauracji. Weszli do sąsiedniego pokoju. Słyszał ich przez niemal całą noc. Kiedy wszystko się uspokajało i padali wyczerpani, Jean zasypiał, po czym nagle znowu budziło go dyszenie, chrząkanie i przytłumione krzyki kobiety. Wyobrażał sobie jej piersi kołyszące się nad brzuchem mężczyzny... Nikt nie ośmielił się interweniować. Hotel był tani i nie było w nim zbyt wielu gości.

Teraz Jean wyrwał się z tego wspomnienia i ponownie spojrzął w dół na kolumnę liczb.

Poprzedniego dnia negocjacje z właścicielem fabryki produkującej spódnice i bluzki nie potoczyły się po jego myśli. Terminy były jednak zbyt napięte, by szukać gdzie indziej, więc po raz kolejny musiał ograniczyć swoje zyski. Wszystko kosztowało stanowczo zbyt wiele: prace remontowe w sklepie, zatrudnienie pracowników, umowy z dostawcami.

Nie wspominając już o tym, że Geneviève, odkąd urodziła się Colette, bardzo dużo wydawała.

Na początku zażądała przeprowadzki.

– Chyba sobie nie wyobrażasz, że z tak trudnym dzieckiem jak nasze dalej będę mieszkać w tej ruderze? – powiedziała.

Jean wcale nie miał wrażenia, żeby mała była jakoś szczególnie kłopotliwa, ale żona malowała przed nim taki obraz ich córki, w którym z trudem mógł rozpoznać Colette. Nie było dnia, żeby nie słyszał całej litanii skarg, które – doskonale to pamiętał – zaczęły się już w pierwszych tygodniach. Na początku nie zwracał na to uwagi. Tłumaczył sobie, że poród to ciężka próba, więc to normalne, że Geneviève jest rozdrażniona, że potrzebuje więcej snu.

Umieściła łóżeczko w szafie, której drzwi trzymała na wpół zamknięte.

– Ależ ona jest hałaśliwa, nie mogę przez nią zmrzyć oka – skarżyła się często. Choć nie powinno jej to aż tak bardzo przeszkadzać, skoro zasypiała niemal od razu, gdy tylko się położyła, i Jean nigdy nie widział, żeby budziła się wcześniej rano.

Karmienie piersią było równie trudne.

– Nie zniosę już tego dłużej – powiedziała Geneviève lekarzowi pod koniec drugiego tygodnia. – Przez nią odczuwam cholerny ból!

– Ale przecież nie widać ani zapalenia sutka, ani obrzęku – odparł pocziwy doktor Paul. – Kanaliki nie są zatkane i nie ma pleśniawek. Nie rozumiem, skąd może się brać tak ostry ból.

Mimo to dziecko zaczęło dostawać mleko z proszku.

Było to przykre dla Jeana, który bardzo przywiązał się do małej Colette. Kiedy płakała, wstawał do niej, nawet jeśli Geneviève jeszcze nie spała.

– Źle robisz – krytykowała go wtedy żona. – Ona się do tego przyzwyczai i zobaczysz, co będzie!

W przeciwieństwie do Geneviève Jean nie brzydził się, gdy trzeba było małą przewijać („Od razu mi się robi niedobrze”, mówiła Geneviève); posypywał ją talkiem i ubierał. Uważał, że córeczka jest naprawdę żywa i energiczna. Zawsze zresztą otrzymywał nagrodę, ponieważ Colette za każdym razem witała go okrzykami radości.

– Ależ ona jest hałaśliwa – utyskiwała jej matka. – W ogóle nie potrafi usiedzieć na miejscu!

„Trudności”, jakie rzekomo sprawiała Colette, doprowadziły do tego, że Geneviève zaczęła stawiać coraz więcej wymagań.

Jean musiał się bardzo starać, by zrezygnować z mieszkania z łazienką i ubikacją. W końcu udało im się wypatrzeć trzypokojowe mieszkanko na rue de Paradis, które i tak kosztowało o jedną trzecią więcej, niż chciał na to przeznaczyć.

– To absolutne minimum – oświadczyła Geneviève. – Od razu widać, że w ogóle nie zajmujesz się córką!

Zresztą nic, co robił Jean, nie znajdowało uznania w jej oczach. Jego zdaniem ciągle narzekania żony były po prostu sposobem na usprawiedliwienie całkowitego braku fizycznej bliskości od pięciu lat – od trzeciego tygodnia ich małżeństwa. Nic nigdy między nimi nie funkcjonowało, a ich nieporozumienia bardzo szybko przeniosły się na sprawy seksualne. Wciąż dzielili łożę – Geneviève zajmowała jego większą część, a Jean musiał się mocno nagimnastykować, by jej nie dotknąć, bo w przeciwnym razie zostałby oskarżony o próbę gwałtu. Na jego nieśmiałe zaloty odpowiedziała mu już na samym początku:

– Chyba mam prawo do prywatności?

„Kopulowanie” – słowo, którego lubiła używać z okazywanym na twarzy obrzydzeniem – raniło jej uczucia. Potem przeszła do znacznie bardziej kategorycznych argumentów. Ilekroć na coś miała ochotę ponarzekać, mówiła:

– Wystarczy chyba, że mam męża impotentą.

Musiał jednak przyznać, że Geneviève nie mówiła takich rzeczy całemu światu, tylko jemu. Był więc jedyną osobą, która zastanawiała się, gdzie i kiedy jego żona zaszła w ciążę. Według Jeana Colette została poczęta we wrześniu 1948 roku, kiedy Geneviève pojechała do Bejrutu na pogrzeb matki. Niewątpliwie skorzystała z tego krótkiego pobytu, by odszukać jakiegoś kochanka z czasów młodości – a miała ich sporo, o czym dowiedział się dopiero po ich ślubie.

Jej druga ciąża, która właśnie dobiegała końca – Geneviève spodziewała się dziecka na początku maja – była bardziej tajemnicza. Poczęcie musiało nastąpić poprzedniego lata i Jean nie potrafił powiązać tego okresu z jakimś szczególnym wydarzeniem.

Błędem jednak byłoby sądzić, że to go nie obchodzi. Wręcz przeciwnie. Cierpiał bardzo dotkliwie, ale jego zdaniem – choć nie był wierzący – Geneviève pojawiła się w jego życiu, by odpokutować za swoje grzechy. Wraz z długami, pożyczkami, wszelkiego rodzaju nietrafionymi pomysłami, koszt wynajmu nowego mieszkania stał się jedną z pokut, którą Geneviève w nieugięty sposób postanowiła mu zadać. Wkrótce zyskał potwierdzenie

tego, ponieważ zaraz po przeprowadzce zdarzyło się coś, co miało wyrzucić znaczący wpływ na ich losy, a mianowicie w 1951 roku zorganizowano wystawę WSZYSTKO DLA DOMU. Geneviève była zachwycona perspektywą niebywałej ulgi i pomocy, jaką obiecywały kobietom najnowsze dokonania wytwórców sprzętu domowego.

W obliczu tego nagłego zauroczenia żony Jean próbował się jej przeciwstawić, ale zawsze znajdowała solidniejsze argumenty i racje. Nowy wózek dziecięcy na resorach (ze zdejmowanym koszem i uchwytemi Darveya), za dwadzieścia pięć tysięcy franków, okazał się absolutnie niezbędny. „Ty chyba w ogóle nie jesteś w stanie sobie wyobrazić, jak to jest jeździć takim zwykłym wózkiem przez cały dzień”. To samo w kwestii uniwersalnej suszarki firmy Pratic, która umożliwia wciąganie na linkach upranych ubrań pod sam sufit (siedem tysięcy franków). Geneviève zakochała się na zabój w zestawie Lavelle na gaz (osiemdziesiąt tysięcy franków), który prał dzięki *elastycznym turbulencjom*.

– No wreszcie coś, co brzmi naprawdę praktycznie! – zawołała Geneviève, poklepując dłonią obudowę urządzenia, tak jak właściciel konia wyścigowego swojego pupila. – Oczywiście dla ciebie jest to kompletnie bez znaczenia. Bo to przecież nie ty pierzesz pieluchy przez okrągły rok.

Była nieugięta, jeśli chodzi o konieczność zakupu podgrzewacza wody na gaz z sieci miejskiej za jedyne czternaście tysięcy franków i kabiny prysznicowej za trzynaście tysięcy franków.

Można by przysiąc, że Geneviève miała szósty zmysł do wybierania najbardziej problematycznych urządzeń. Uniwersalna suszarka nigdy nie sięgnęła sufitu, ponieważ sznurki się zaplątały, ledwie udawało się ją podnieść (i to krzywo) na wysokość głowy, trzeba więc było się schylać, żeby pod nią przejść, zupełnie jakby człowiek wchodził do namiotu kempingowego. Miejsiąc później Jean znalazł ją na chodniku obok koszy na śmieci. Podgrzewacz, pomijając to, że był bardzo głośny, zapewniał tylko letnią wodę, a zestaw firmy Lavelle okazał się mniej wydajny, niż obiecywał to producent, w dodatku niszczył prane tkaniny.

Główną trudnością jednak było skoordynowanie pracy zestawu, poza tym wytwarzał tyle pary, że wkrótce trzeba było kupić napowietrzacz przeciwmgielny (siedem tysięcy franków), który nie działał jednak zbyt długo, ponieważ Geneviève przestała używać pralki, kiedy dowiedziała się, że w sąsiednim budynku pewna kobieta dorabiała sobie do pensji, piorąc ubrania innych mieszkańców.

Jean właśnie skończył spłacać dwunastomiesięczną pożyczkę, przeznaczoną na zakup tych urządzeń, kiedy w 1952 roku otworzono kolejną wystawę WSZYSTKO DLA DOMU i Geneviève znów była zdeterminowana, by „zdobyć to, co najlepsze”, jak to ujęła.

– To, co niedrogie, nie jest wiele warte – mawiała. – Nie jesteśmy na tyle bogaci, żeby kupować tanio!

Jean wpadł w złość, gdy zaczęła na niego narzekać, że „nie jest w stanie zapewnić żonie minimum komfortu”; Geneviève mimo to uparła się, żeby kupić lodówkę wyposażoną w sprężarkę elektromagnetyczną, odkurzacz Jumbo 115 Volt, kuchenkę (tym razem elektryczną, ale trzeba było co nieco poczekać z jej instalacją, ponieważ po dostawie okazało się, że instalacja w ich budynku nie zapewnia niezbędnej mocy), zamrażarkę Igloo („Pewnie kompletnie cię nie obchodzi, że latem można tu zdechnąć od tego upału, skoro i tak nigdy nie ma cię w domu!”), a także cudowny stoliczek Adap’Table, dzięki któremu można było zjeść śniadanie w łóżku – z którego Geneviève zresztą chętnie korzystała. Na to wszystko trzeba było wziąć pożyczkę w wysokości osiemdziesięciu pięciu tysięcy franków, którą należało spłacić w ciągu dwunastu miesięcy.

Dla i tak mocno już poturbowanej duszy biednego Jeana Pelletiera było tego naprawdę za wiele.

Siedząc w przedziale pociągu relacji Charleville–Paryż, poczuł się nagle zdruzgotany i przytłoczony połączeniem katastrofalnych negocjacji handlowych, rozpaczliwego stanu domowych finansów i remontu sklepu przy place de la République, którego koszty nieustannie przekraczały wcześniejsze prognozy.



Nagle poczuł, że się dusi. Młody seminarzysta spojrział na niego wzrokiem bardziej przerażonym niż nieśmiałym.

Jean wstał gwałtownie – potrzebował powietrza, natychmiast – chwiejnym krokiem podszedł do drzwi, otworzył je z trudem, potknął się i zrobił krok naprzód. Wszedł do opustoszałego korytarza i desperacko chwytając się metalowej poręczy, próbował opanować potworne mdłości. Po drugiej stronie okna krajobraz, wciąż złowrogi i ponury, przewijał się przed nim niczym kiepski film, który mógłby przypominać jego życie. Kiedy się odwrócił, zobaczył, że młody mężczyzna w przedziale wpatruje się w niego uporczywie. Obaj natychmiast odwrócili wzrok.

Jean poszedł korytarzem do końca wagonu i rozsunął ciężkie drzwi prowadzące na pomost. Dźwięk pędzącego po torach pociągu uderzył go jak wściekłe zwierzę. Jean zatrzymał się bez ruchu. W następnym wagonie stała, plecami do niego, kobieta, wpatrująca się w krajobraz, paląc papierosa. Nie odwróciła się, ale jej twarz odbijała się w szybie; to była dziewczyna, którą widział poprzedniego dnia w restauracji, ta, która niemal całą noc piszcziała i jęczała. To była na pewno ona.

Zauważyła twarz Jeana w szybie i wpatrywała się w niego przez chwilę, lekko mrużąc oczy, próbując przypomnieć sobie, gdzie mogła widzieć go już wcześniej.

Zanim zdał sobie sprawę, co robi, Jean podskoczył do niej, złapał ją za włosy i uderzył jej czaszką o szybę, raz, dwa razy, z całej siły. Ciało kobiety natychmiast przestało stawiać jakikolwiek opór.

Jean, wciąż trzymając dziewczynę za włosy, powalił ją, stanął nad nią okrakiem i otworzył drzwi wagonu. Podczas gdy lodowaty wiatr smagał jego twarz, Jean, chwyciwszy kobietę pod pachy, uniósł ją nieco i wyrzucił w pustkę przed siebie. Kiedy zamknął drzwi, spojrział na podłogę: nie widać było na niej śladów krwi; zostały tylko szerokie smugi na szybie. Wyjął chusteczkę, splunął na nią kilka razy, wytarł krew najlepiej, jak potrafił, i cofnął się o metr, by ocenić efekt. Szyba wciąż była brudna,

ale jeśli się nie wiedziało, że to krew... Przez chwilę zastanawiał się, czy ponownie nie otworzyć drzwi i nie wyrzucić chusteczki, w końcu jednak, skrajnie zmęczony i ogarnięty przemożną chęcią snu, wcisnął ją do kieszeni marynarki i wrócił na swoje miejsce w przedziale. Ręce lekko mu się trzęsły. Odchylił głowę i udawał, że przysypia.

Na zasadzie błyskawicznie nasuwających się skojarzeń znalazł się w Bejrucie, dokąd mieli polecieć w następnym tygodniu. To właśnie tam, wiele lat wcześniej, po raz pierwszy zabił dziewczynę trzonkiem kilofa. Nie lubił wracać do tego miejsca; miał wyłącznie złe wspomnienia związane z Bejrutem i naprawdę jechał tam wbrew sobie.

• • •

W gruncie rzeczy jedyną osobą z rodziny zadowoloną z perspektywy udziału w procesji Pelletierów była Geneviève.

I wcale nie chodziło o to, że przy okazji odwiedzi swoją rodzinę, która mieszkała w Bejrucie. Wcale nie była szczęśliwa, że zobaczy siostry, których nienawidziła, ani ojca, którego obwiniała o to, że nie był na tyle roztropny i przewidujący, by zapobiec jej małżeństwu z Jeanem. Nie, cieszyła się tylko dlatego, że podróż pierwszą klasą, którą proponował jej teść, przyprowadziła ją o zawrót głowy; czuła się jak milionerka i podniecało ją to bezgranicznie.

Na razie jednak zapadła się w bujanym fotelu, który, jak precyzyjnie objaśnił pracownik salonu wystawy WSZYSTKO DLA DOMU, „pozwała odchylić się do tyłu i powrócić do pozycji wyjściowej poprzez naciśnięcie na podłokietnik”. Siadywała w tym fotelu, głównie żeby robić na drutach wyprawkę dla dziecka. Wykazywała się przy tym dużą niezdarnością, nieustannie gubiła oczka i rezultat był straszny. Colette zawsze chodziła niechlujnie ubrana.

Geneviève spojrzała na córkę, która akurat wspinała się na krzesło. Była śliczną dziewczynką – lekarze rodzinni w tamtych

czasach wiedzieli, jak karmić dzieci, by były pulchne: wzbogacać ich dietę mąką, syropem kukurydzianym i cukrem – ale, jak już wspomnieliśmy wcześniej, rzadko uśmiechniętą i nad wiek poważną. Biorąc pod uwagę wszystko, co ją spotkało, było zaskakujące, że wciąż żyła. Już nikt nie potrafił zliczyć, ile razy spadła z krzeselka do karmienia, ile razy skaleczyła się, gdy chwyciła nóż kuchenny. Raz, kiedy złapała pudełko i połknęła kilka garści proszku do prania Persil (nadboran i krzemian), Jean musiał z nią pędzić na pogotowie. To, że zostawiano nóż kuchenny lub detergent w zasięgu dwuletniego dziecka, było dla niego jednak dość niepokojące.

– Masz rację, ten bachor zachowuje się naprawdę paskudnie – odpowiadała mu Geneviève, gdy o tym wspominał.

W tej chwili Colette kończyła wspinać się na krzesło i właśnie podejmowała szturm na dwie książki telefoniczne znajdujące się na półce nad nim; trzeba przyznać, że było to śmiało posunięcie.

– Na pewno dasz radę, kochanie! – zachęcała ją matka, podnosząc wzrok znad robótki na drutach.

Bardzo się przykładała do pracy nad czapeczką. Niebieską, bo chciała mieć chłopca. Od samego początku. Pojawienie się Colette było dla niej ogromnym rozczarowaniem. Cięża, która dobiegała teraz końca, niosła ze sobą wszystkie jej nadzieje.

– Szpiczasty brzuch zwykle oznacza, że będzie chłopak! – powiedziała Geneviève do pani Faure, która przychodziła gotować dwa razy w tygodniu, po czym dodała: – Już najwyższy czas, żeby w tym domu był wreszcie jakiś mężczyzna!

Była przekonana, że jest filarem ich związku, że bez niej „wszystko by się posypało”. Wprawdzie Misiek wciąż narzeka, ale ma szczęście, że zgodziłam się za niego wyjść, bo beze mnie Bóg jeden wie, co by się z nim stało, myślała. Lubiła wyobrażać sobie, że ratuje męża w ostatniej dosłownie chwili w najbardziej katastrofalnych sytuacjach, w które zawsze się pakował. Najlepszym tego dowodem była według niej cała ta historia ze sklepem

przy place de la République, w związku z którym w lecie jej szwagierka spotkała się z nią w parku.

Był początek sierpnia, ale przez część przedpołudnia padał deszcz.

Kiedy Geneviève zobaczyła, że Hélène się zbliża, ruszyła tak szybko, że nikt by jej nie podejrzewał o taką zwinność, by wyciągnąć Colette z błotnistej kałuży, w której mała taplała się już od kwadransa.

– Czy ona wpadła do wody? – zapytała Hélène.

Geneviève, cała uśmiechnięta, trzymała Colette na kolanach i wycierała jej ręce i twarz chusteczką.

– Tak, moje ty biedactwo. Jedna chwila nieuwagi, no i proszę, cała robota na nic... No co, moja ty pchełko, już dobrze, dobrze...

– Jest taka słodka... – powiedziała Hélène.

– Jest kochana! – Geneviève potarła nosem o nos córki. – Tak jest, moje kochane maleństwo.

Przez umysł Hélène przemknęło coś na kształt błyskawicy, jedna z tych ulotnych myśli, które przychodzą ci nagle do głowy, a potem natychmiast znikają, ale mają znajomy i groźny wydźwięk. Dotyczyło to na pewno Colette i jej matki, ale nie potrafiła tego jasno sprecyzować.

Ten nagły niepokój ustąpił miejsca bardziej aktualnemu, który ją tu sprowadził: Hélène i François zauważyli, że ich starszy brat Jean sprawia wrażenie niewiarygodnie udęczonego.

– Misiek ostatnio bardzo schudł – zaczęła. – Co mnie martwi... Czy to w związku z tym drugim sklepem? Może byłoby lepiej, żeby dał sobie spokój z tym pomysłem?

Geneviève natychmiast odzyskała panowanie nad sobą. Jako istota z gruntu zła, miała dar bardzo wyostrzonego postrzegania problemów innych osób.

– Wcale mnie to u Jeana nie dziwi – odparła. – Bo czy to w pracy, czy w życiu, zawsze jest okropnie zachłanny. Chociaż ostatnio nie dotyczy to jedzenia.

Hélène spojrzała na dziecko, którego ubranie było okropnie poplamione.

– Trzeba by ją przykryć – rzuciła. – Masz dla niej ubranko na zmianę?

– Nie. Pani Faure miała się tym zająć, ale znowu zapomniała.

Hélène nie miała pojęcia, co dawna sąsiadka szwagierki, która przecież tylko dla niej gotowała, może mieć wspólnego z ubrankami dziewczynki i spacerami w parku, ale funkcjonowanie domu Geneviève opierało się najwidoczniej na ezoterycznych i niejasnych podstawach.

Tak czy inaczej, dziecko było przemoczone do suchej nitki.

– Trzeba ją czym prędzej zabrać do domu, zanim zmarznie – powiedziała Hélène.

– Ona jest nie do zdarcia – prychnęła Geneviève. Mimo to posadziła córkę w wózku i szybkim ruchem naciągnęła na nią kocyk.

Zanim się pożegnały, Hélène pochyliła się nad bratanicą. Ta złapała ją za palec wskazujący, ścisnęła go i przyłożyła do ust.

– A co do Jeana, to zajmę się tym – powiedziała Geneviève.

Patrzyła prosto przed siebie i skupiła się tylko na swoich własnych sprawach. Ostatecznie chodziło również o jej życie, jej dochody, jej przyszłość, a perspektywa bankructwa bardzo ją zaniepokoiła.

– Potrzebujesz kogoś do pomocy – powiedziała mężowi jeszcze tego samego wieczoru.

Przez krótką chwilę Jean myślał, że raczej potrzebowałby innej żony, ale przyzwyczał się już do zachowywania swoich komentarzy dla siebie. W porządku. Ale kto? Nie potrafił nawet sobie wyobrazić, kto mógłby skutecznie wykonywać zadania, które teraz spadały na niego.

– Zarządcy – dorzuciła Geneviève. – Kogoś, kto będzie nadzorował pracę i zajmie się prowadzeniem sklepu.

Kiedy Jean to usłyszał, zdał sobie sprawę, że znalezienie kogoś z takimi kompetencjami jest jeszcze bardziej niemożliwe.

– Chyba nawet wiem, kto by się nadawał – dodała żona.

Nie chciała jednak zdradzić nic więcej. Poprosiła Miśka, by zajął się Colette, i włożyła wyjściową garsonkę.

– Ile płaci się kierownikowi sklepu? – spytała.

Jean otworzył szeroko oczy; nie miał o tym zielonego pojęcia.

– Nie wiem – odparł. – Myślę, że jakieś trzydzieści tysięcy franków... Może trzydzieści pięć...

Skinęła głową i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Kiedy wróciła, oznajmiła:

– Załatwione.

– Co jest niby załatwione? Co zrobiłaś?

– Masz już kierownika sklepu. Może zacząć we wrześnie. Będzie nadzorował prace wykończeniowe. Wiosną zatrudni sprzedawczynię i ludzi do obsługi magazynu. Powiedziałam mu, że sklep musi być otwarty najpóźniej do końca marca.

Jeana kompletnie zatkało.

– Ale... kto? Kto to jest?

– Pan Guénot.

– Guénot?

Jean aż się zakrztusił. Usiadł w obawie, że zemdleje.

W 1948 roku w anonimowym liście Geneviève napisała donos na Georges'a Guénota do komisji do spraw konfiskaty nieuczciwych zysków, w którym oskarżyła go o wykupienie za pieniądze zapasów wielu żydowskich sklepikarzy z dzielnicy Sentier, którzy zostali zmuszeni do ucieczki z kraju. Skonfiskowano wtedy cały jego majątek, w tym pokaźne zapasy tkanin, które Geneviève za pośrednictwem Jeana odkupiła potem za jedną trzecią ich wartości. W taki właśnie sposób powstał pierwszy sklep Dixie.

– Poszłaś zobaczyć się z... panem Guénotem? – spytał Jean z niedowierzaniem.

To było nie do pomyślenia! W dniu, w którym Guénot zdał sobie sprawę, kto był autorem donosu, który doprowadził go do kompletnej ruiny, o mało nie zabił Geneviève.

– Właśnie tak – odparła, zdejmując kapelusz.

- Ale dlaczego on?
- Bo świetnie zna się na interesach.
- I... i zgodził się?

To było najbardziej zaskakujące. Geneviève uśmiechnęła się lekko.

– Jest całkowicie splukany. A my proponujemy mu całkiem niezłą posadę. – Pilnowała się, żeby nie wspomnieć o tym, że Georges Guénot najpierw wydarł się na nią:

– Aha! Teraz wstydzicie się, że mnie oszukaliście, o to chodzi, tak?!

Geneviève położyła dłonie na torebce.

– Wcale nie dlatego – odparła. – Potrzebujemy doświadczonego złodzieja, więc od razu pomyślałam o panu.

– Ile będziemy musieli mu płacić? – zapytał z niepokojem Jean.

– Czternaście tysięcy franków miesięcznie. Od czasu, kiedy splajtował, wegetuje w jakiejś małej firmie bez przyszłości. Nie mógł odmówić.

Okazało się zatem, że miała nosa.

Do takiej funkcji Georges Guénot nadawał się idealnie. Jeśli chodzi o dociskanie personelu, miał fenomenalną intuicję i niezachwiany cynizm. W firmie, która za sprawą Geneviève splajtowała, jedna z pracownic odcięła sobie palec, na co Guénot zażądał, by najpierw posprzątała cały ten bałagan, a dopiero potem był gotowy wezwać lekarza.

Zajmował się przygotowaniami do otwarcia sklepu przy place de la République od ponad sześciu miesięcy i w tym czasie zdążył wykiwać wszystkich rzemieślników, postawić do pionu brygadzystów i robotników, a wkrótce miał zacząć zatrudniać personel, co zapowiadało niezłą zabawę.

Od czasu zatrudnienia Guénota presja zmalała i Jean mógł poświęcić się temu, na czym znał się najlepiej: pozyskiwaniu dostawców i podpisywaniu umów. Podróżował po całej Francji, by znaleźć zakłady, którym proponował duże zamówienia na tanią odzież dla niezbyt wymagających klientów.

Która to może być godzina? Geneviève spojrzała na budzik. Mój Boże, już była czwarta.

Zmarszczyła nos. Trzeba będzie przewinąć Colette, bo już od południa leży w tym, co zrobiła pod siebie, pomyślała.

Geneviève pochyliła się nad robótką, by policzyć oczka.

Można by pomyśleć, że to, co robi córka, jest jej kompletnie obojętne, ale wcale tak nie było, bo kiedy mała w końcu zdjęła z półki książki telefoniczne, położyła ja na krześle i stanęła na nich, żeby dostać się do parapetu i szeroko otwartego okna, po czym trzymając w obu dłoniach okrągłą klamkę, zaczęła się kiwać, matka spojrzała na nią z uśmiechem, skrzyżowała ręce na piersi i spytała:

– No i co my tam teraz robimy?

Popołudnie było ciepłe, ale nie minęła jeszcze połowa lutego. Do pokoju napływało chłodne powietrze; paluszki Colette ściskające klamkę zsiniały z zimna, a Geneviève już od dłuższego czasu miała zarzucony na ramiona gruby szal.

Dziewczynka kołysała się powoli z jednej nogi na drugą.

Czy czuła pod sobą pustkę?

Czy widziała dziedziniec cztery piętra niżej?

Zaczęła krzyczeć.

– No więc jak, kochanie, zdecydujesz się? – odezwała się spokojnie Geneviève; jej dwie pulchne ręce skrzyżowały się nad położoną na kolanach robótką.

Uśmiechała się i kiwała głową, zachęcając dziecko, które krzyczało na cały głos, żeby wreszcie się zdecydowało.

– Wahasz się, prawda? Cóż, rozumiem, to w końcu duża odpowiedzialność...

W tym momencie Colette puściła klamkę okna, a jej matka pochyliła głowę.

Ciało dziewczynki przechyliło się, jakby jej stopa nagle poślizgnęła się na kawałku lodu. Upadła do środka, uderzając czołem najpierw w książki telefoniczne, a potem o podłogę.

Jej krzyk, przerwany podczas upadku, natychmiast rozległ się ponownie.



Geneviève zamknęła oczy. Ależ okropna beksa z tego dzieciaka! Gdy krzyk Colette wzmógł się jeszcze bardziej, Geneviève przyłożyła dłoń do uszu.

Prawdopodobnie dlatego nie usłyszała otwierającego drzwi męża.

Kiedy otworzyła oczy, stał w drzwiach z walizką w ręce.

– Co tu się dzieje?

Mała, cała we łzach, uczepliła się nogi krzesła jak rozbitek z katastrofy.

Okno nad nią było szeroko otwarte.

Geneviève, zaskoczona, podniosła się z fotela, podczas gdy Jean próbował zrozumieć sytuację.

– Nie wiem, co się dzieje! – wykrzyknęła jego żona. Ciężkim krokiem podeszła do książek telefonicznych, odłożyła je na miejsce i zamknęła okno. – To już tak trwa od południa! Proszę, zajmij się tym wreszcie! – Powolnym, zmęczonym krokiem wróciła na fotel. – Nie zniosę już tego dłużej!

## Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)
- [empik.com](http://empik.com)
- [bonito.pl](http://bonito.pl)
- [taniaksiazka.pl](http://taniaksiazka.pl)

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.  
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarń i na stronę [wydawnictwoalbatros.com](http://wydawnictwoalbatros.com), gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).